

Niedawno minęła pierwsza rocznica śmierci naszego najwybitniejszego zawodnika w powojennej historii ping-ponga – Andrzeja Grubby. I nie sposób na nowej stronie internetowej nie wspomnieć o Andrzeju.

Pamiętam jak dziś. Jechałem z rodziną na urlop. Tuż przed granicą niemiecko-polską włączyliśmy radio. W wiadomościach podano akurat: Andrzej Grubba nie żyje. Było w tym coś absolutnie abstrakcyjnego. On człowiek sukcesu, dziecko szczęścia o nieprawdopodobnym talencie, pędzący przeciw sportowy tryb życia, odchodzi.

Po latach pełnych sukcesów, i jako zawodnik, i jako trener, zapragnął wrócić do kraju. Miał swoje plany, zamierzenia, marzenia. Może je realizuje tam...

Miałem to szczęście, że parę lat trenowałem na jednej sali z Andrzejem. Od 1983 roku, czyli na rok przed ME w Moskwie, gdzie Andrzej odniósł swój pierwszy znaczący sukces, jakim było II miejsce w singlu. Cała sekcja AZS AWF Gdańsk zaczęła trenować w tym samym czasie. My młodzi mieliśmy okazję na co dzień podglądać jednego z najlepszych zawodników na świecie.

Nie chcę w tym artykule wystawiać laurki Andrzejowi. Jak wiemy i on nie był idealny – jak każdy z nas. Chciałbym jednak skupić się na tym, co nas najbardziej chyba interesuje. Spróbuję odpowiedzieć na pytanie: co było w Andrzeju Grubbie tak szczególnego, że osiągnął sportowe szczyty? I od razu przed oczami codzienne, treningowe "wojny", w szczególności z Leszkiem Kucharskim. Na te pojedynki przychodziły rzesze studentów i kibiców, kiedy pantoflową pocztą wiadomo było, że obydwójce są w kraju. Wiadomo było, że będzie co oglądać. Ta rywalizacja powodowała, że każdy trening był osobnym rozdziałem z trochę innym scenariuszem. Andrzej zawsze chciał wygrać i obojętne czy to był trening czy finał Mistrzostw Europy. Już sam trening pod względem stresu i zaangażowania przewyższał niejedną dzisiejszą pojedynek ligowy.

Następna sprawa, która mi się od razu z Andrzejem kojarzy – jak najwięcej grania z różnymi zawodnikami. Nieraz byłem świadkiem jak grał z wszystkimi obecnymi na sali. Przynajmniej seta! Przy okazji różnych obozów, zawodów przyjeżdżało wiele międzynarodowych ekip. Każdy z zawodników ma coś, czego nie mają inni. Jeden dobrze serwuje, drugi niekonwencjonalnie odbiera. Inny gra tylko po prostej, następny ciągle chce mieć inicjatywę. Andrzej o tym wiedział, testował wszystkich. Od każdego chciał coś wyciągnąć.

Mam u siebie w klubie paru znakomitych zawodników. Jeden z nich to Miro Shenk, kadrowicz reprezentacji Czech za jej najlepszych czasów. Wicemistrz Europy juniorów. Ograł niejednego zawodnika ze światowej czołówki. Kiedy rozmawiamy o Andrzeju opowiada mi ciągle tę samą historię. A ja zawsze słucham z zapartym tchem. Każdy wie, że Andrzej karierę zawodniczą zaczął naprawdę późno. Było to w wieku 14 lat, po jego przygodzie ze szczypiorniakiem. Nie liczył się w juniorach w Europie zupełnie. Miro był wtedy w czołówce Europy tej kategorii wiekowej. W czasie wspólnego obozu przed ME Andrzej kupował mu ciastka, czy oranżadę tylko po to, by ten pokazał mu jedną, jedyną rzecz: serw. W tamtych czasach bardzo popularny był, szczególnie u zawodników leworęcznych, forhendowy serw grany „zza głowy”. Każdy kto zna trochę grę Piotrką Napiórkowskiego wie o co chodzi.

Andrzej miał niesamowicie rozwiniętą wewnętrzną motywację. Nie zadawała się małymi rzeczami. Chciał być po prostu najlepszy. Jakże rzadko trener może spotkać takiego zawodnika. Pomijam tu takie oczywiste rzeczy jak nieprawdopodobne czucie piłki, wspaniała, naturalna praca nóg. Myślę jednak, że decydującym czynnikiem jego sukcesów była olbrzymia ambicja. I pewnie długo będzie jedynym, który wygrał Puchar Świata w Chinach, był w czwórce na Mistrzostwach Świata, dwa razy grał w finale singla Mistrzostw Europy i wygrał nieprawdopodobnie dużą liczbę turniejów zaliczanych do „Pingpongowego Szlema”. Przy okazji wygrania 50-go jubileuszowego plebiscytu Przeglądu Sportowego miliony Polaków dowiedziało się, że

Wspomnienie o Andrzeju Grubbie

Written by Zbyszek

Tuesday, 17 October 2006 11:20

ping-pong to tenis stołowy.

A już jego tytaniczna walka ze śmiertelną chorobą powinna zamknąć usta wszystkim malkontentom. Bo tak jak walczył do końca przy stole pingpongowym, tak też walczył do końca przy stole życia. Tym razem przegrał tu na ziemi w ostatnim secie na przewagi...

Ale znając go, patrzy pewnie na nas teraz z góry i mówi "do roboty..."

Zbyszek Stefański